

Cykl SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS

OGNISTY
PRZYPŁYW

ALBATROS

Tytuł oryginału:
TIDES OF FIRE

Copyright © James Czajkowski 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Robert Waliś 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



U wybrzeży wyspy Sumbawa w Holenderskich Indiach Wschodnich 11 kwietnia 1815

Z dziobu statku *Tenebrae* kapitan Leland Macklin wpatrywał się w ognistą paszczę piekła.

Było po południu, ale słońce nie świeciło. Niska warstwa popiołu i dymu całkowicie zasnuwała niebo. Od smrodu siarki piekły oczy i paliło w płucach. Jedynym źródłem światła była ognista wyspa Sumbawa. Wybrzeże było oddalone o pół mili, ale pozostawało niemal niewidoczne, nie licząc rzek lawy, które spływały z rozerwanych stoków wulkanu Tambora.

Nad okolicznymi wodami, które z trudem można było dostrzec, wisiąca grobowa cisza. Na falach wokół statku unosiła się kilkudziesięciocentymetrowa warstwa gorącego popiołu i kawałków pumeksu. Ale nie mogła ukryć martwych ciał. Ławic wzdętych ryb oraz niezliczonych zwłok. Setek ludzi. Większość była tak spalona i osmalona, że nie sposób było ich odróżnić od ciemnej wody.

– Lepiej się wycofajmy, kapitanie – powiedział z niepokojem porucznik Hemple.

Był o siedem lat młodszy od Macklina i od ponad dziesięciu lat pełnił funkcję jego zastępcy. Był raptownym i surowym brodatym mężczyzną o ciemnych blond włosach, który rzadko dramatyzował. Z powodu duszącego upału zdjął bluzę od munduru i miał na sobie tylko kamizelkę, białą koszulę i niebieskie spodnie. Jak wszyscy członkowie załogi zakrywał nos i usta wilgotną szmatą.

– Na pokład opadło już mnóstwo popiołu – ostrzegł. – Część z niego mocno się rozgrzała.

– To prawda – przyznał Macklin, ocierając gorące czoło wilgotną chustką. Był ubrany podobnie do porucznika, ale nie zdjął niebieskiej góry od munduru z prostymi, złotymi lamówkami i pozłacanymi miedzianymi guzikami. Strzepnął popiół z czarnego kapelusza i założył go na przyprószoną siwizną głowę.

Obejrzał się, by ocenić stan *Tenebrae*. Wydawało się, że statek jest równie skamieniały jak morze, przypominał ciemny pagórek sterczący z przeklętych wód. Popiół pokrywał wszystkie pokłady i takielunek; barwił na czarno żagle na wszystkich trzech masztach. Członkowie załogi z twarzami osłoniętymi chustami krzatali się, ścierając, zamiatając i zgarniając gorący popiół, ale kolejne warstwy pyłu i pierzastych płatków wciąż opadały na ich oszołomione głowy.

– Kapitanie? – odezwał się Hemple.

– Zawracaj – rozkazał Macklin. – Płyniemy z powrotem na Jawę. Wicegubernator Raffles niecierpliwie czeka na naszą relację. Ale podnieś żagle tylko do połowy, bo te wody są wyjątkowo zdradzieckie.

– Tak jest.

Hemple odszedł, by przekazać rozkazy ludziom na mostku. Po kilku minutach statek zaczął powoli oddalać się od ognistej wyspy. Szorstki pumeks ocierał się o kadłub i brzmiało to tak, jakby umarli próbowali wdrapać się na pokład. Słysząc było także dobiegający z miejsca, w którym lawa wpływała do wody, cichy niepokojący syk.

Macklin ucieszył się, widząc, że Tambora powoli znika za rufą. Pierwszy wybuch miał miejsce sześć dni wcześniej. Gdy fala uderzeniowa dotarła do oddalonej o osiemset mil Jawy, brzmiała jak odległa salwa z armat. Wielu sądziło, że to odgłos wściekłego ataku piratów na jakąś jednostkę handlową, ale kiedy przez wyspę przetończyły się chmury czarnego popiołu, a następnie załazy ją fale, wszyscy zrozumieli, z czym mają do czynienia: z gigantyczną erupcją wulkaniczną.

Tenebrae cumował wtedy w Batawii, stolicy Holenderskich Indii Wschodnich na wyspie Jawa. Dwa dni po erupcji wicegubernator nakazał załodze wypłynąć na morze i ustalić źródło wybuchu oraz skalę zniszczeń.

Statek doskonale nadawał się do takiej misji. Był to węglowiec używany do transportowania towarów. Miał wytrzymały szeroki dziób i płaskie dno, idealne do żeglugi po płycznach. Szeroki główny pokład ciągnący się od dziobówki aż do rufy miał trzydzieści metrów długości i dziewięć szerokości. A jako że na okolicznych wodach panoszyli się piraci, *Tenebrae* wyposażono w sześć dwudziestoczworfuntowych dział na pokładzie i dwa sześciofuntowe działa na dziobówce.

Teraz Macklin oparł dłoń na jednym z nich, doceniając siłę chłodnego żelaza. Cieszył się, że wracają do portu, ponieważ ogarniała go groza, którą dodatkowo potęgowały spokój morza i bezustanne szorowanie pumeksu o kadłub.

Usłyszał kroki, obejrzał się i zobaczył zbliżającą się postać, chudą jak szkielec. Chociaż mężczyzna miał twarz zasłoniętą wilgotną chustą, kapitan bez trudu rozpoznał Johannesą Stoeckera, przyrodnika z Towarzystwa Batawskiego. Stoecker zdjął surdut i kamizelkę, tak że miał na sobie tylko czarne spodnie i białą koszulę, która stała się niemal równie ciemna. Do załogi przydzielił go wicegubernator Raffles, również członek Towarzystwa Batawskiego, którego celem było badanie oraz pielęgnowanie historycznej i naukowej spuścizny Indii Wschodnich. Towarzystwo uznało, że jeden z ich członków powinien wziąć udział w tak istotnej wyprawie badawczej.

W ślad za Stoeckerem podążał chłopiec pokładowy Matthew, dwunastoletni Aborygen o ciemnych włosach i skórze oraz godnej podziwu odwadze. Był przydzielony do obsługi działu pokładowego, ale w ostatnich dniach skupiał się na pomocy przyrodnikowi. Wyraźnie zadowolony z tej roli, Matthew z uśmiechem dźwigał na ramieniu ciężką skórzaną torbę wyposażoną w pumeksem, który załoga wyłowiała z morza.

– O co chodzi, panie Stoeper? – spytał Macklin.

Przyrodnik opuścił chustę na brodę.

– Skoro zawracamy, to czy nie moglibyśmy wydobyć z morza jednego z ciał? Na Jawie przebywają patolog i chirurg z Towarzystwa, których na pewno zainteresowałby stan zwłok.

Kapitan się skrzywił.

– Nie chcę trupa na pokładzie swojego statku – oświadczył. – To przynosi pecha i może podburzyć załogę do buntu.

Stoeper zmarszczył czoło. Z nieobecnym wzrokiem, pogrążony w myślach, obracał na palcu złoty sygnet z granatem, w którym wyryto *TB*, pierwsze litery Towarzystwa Batawskiego.

Wyrwał się z zamyślenia i odchrząknął.

– Kapitanie, *Tenebrae* jest wyposażony w szalupę o żelaznym kadłubie, wykorzystywaną do pokonywania skał i raf. Czy nie moglibyśmy spuścić jej na wodę, załadować do niej ciała i odholować go na Jawę?

Macklin przez chwilę się zastanawiał, wyraźnie doceniając spryt przyrodnika.

– To rozsądna propozycja – przyznał w końcu. – Jestem w stanie ją zaakceptować. – Zwrócił się do Matthew: – Znajdź, chłopcze, tego szczura lądowego Perry’ego i opuście szalupę.

Młody Aborygen pokiwał głową, odłożył torbę i odbiegł.

Stoeper dołączył do kapitana przy relingu i patrzył na słabnący blask wyspy za rufą.

– Nigdy bym nie podejrzewał o coś takiego Tambory. Może Merapi albo Keluda. Gdybym miał skłonności do hazardu, prędzej obstawiałbym Bromo. Jego szczyt regularnie dymi.

Macklin pokiwał głową z ponurą miną.

– Wszyscy uważali, że Tambora jest uśpiona.

– Wygasła – poprawił go Stoeper. – Aż do teraz panował co do tego konsensus. Ale słyszałem plotki, że rdzenna ludność z Sumbawy czasami odczuwała wstrząsy i słyszała dudnienie pod ziemią. Może nie powinniśmy byli lekceważyć tych relacji.

– Na to wygląda.
– A zeszłej nocy... Mam wrażenie, że druga erupcja była jeszcze gwałtowniejsza. Albo tylko tak nam się wydawało, ponieważ znajdowaliśmy się znacznie bliżej.

– Nie, na pewno była silniejsza – odparł Macklin. – Huknęło tak, jakby ziemia pękła na pół.

– Prawda. A fale, które się podniosły, naprawdę były potworne. Na pewno zalały kolejne tereny wzdłuż wybrzeży wysp.

Kapitan przypomniał sobie falę, która uderzyła w Jawę po pierwszym wybuchu wulkanu. *Tenebrae* cumował na głębokiej wodzie, więc nie został uszkodzony, ale nagły przypływ zmiażdżył nabrzeże i wepchnął statki oraz szczątki daleko w głąb lądu.

– Miejmy tylko nadzieję, że wciąż istnieje port, do którego możemy wrócić – mruknął Macklin.

Porucznik Hemple już wrócił na dziobówkę. Szedł szybkim krokiem w ich stronę.

– Z bocianiego gniazda widać kolejne pożary przed nami – oznajmił.

– Na którejś z dalszych wysp?

– Nie, na morzu. Od sterburty. Pół mili stąd. – Hemple podniósł mosiężną lunetę. – Też je widziałem.

Macklin wyciągnął rękę.

– Proszę pokazać.

Porucznik podał mu lunetę. Kapitan przeszedł na sterburty. Po drodze zauważył słaby blask przebijający się przez obłok. Uniósł lunetę do oka i kilkakrotnie odetchnął, stabilizując ją i ustawiając ostrość. Patrzył przez pełną minutę. W miarę jak statek zbliżał się do źródła blasku, widok stawał się coraz wyraźniejszy.

– To chyba statek – powiedział. – Płonie i mocno się pochyla.

– To jednostka z naszej floty? – spytał Hemple. – Czy brytyjski?

Macklin opuścił lunetę i pokręcił głową.

– Za daleko, żeby zauważyć barwy albo banderę. Ale i tak do niego podpłyniemy.

Porucznik energicznie pokiwał głową i oddalił się, by powiadomić sternika.

– Wszędzie jest pełno żaru – ostrzegł Stoeper. – Nietrudno sobie wyobrazić, że płonący popiół może podpalić drewniany statek.

– *Tenebrae* to nie grozi. Moi ludzie wiedzą, na co mają uważać. Nie damy się zaskoczyć.

– Może załoga tamtego statku nie była tak czujna.

– Przekonamy się.

Mimo żagli opuszczonych do połowy nie potrzebowali dużo czasu, by dotrzeć do tonącej jednostki. Macklin i Stoeper dołączyli do porucznika Hemple'a na pokładzie rufowym. Za sterem stał kapitan Welch. Nikt nie zamierzał ryzykować, zwłaszcza gdy okazało się, że jednostką w opałach jest piracki statek Bugisów, którzy nękali Holendrów w tym regionie. Jego maszty zmieniły się w pochodnie i sterczały krzywo z wody. Kłęby dymu bijące z kadłuba prawie przesłaniały płomienie.

Od wraku oddalało się kilka łodzi wiosłowych, płynących pośród gęstego popiołu. Większość z nich też już się tliła albo płonęła. Dwie zawróciły i skierowały się w stronę *Tenebrae*; rozbitkowie rozpaczliwie wiosłowali.

Macklina zdziwiło, że piraci postanowili szukać pomocy na pokładzie statku pod królewską banderą. Z pewnością wiedzieli, że jeśli na niego dotrą, czeka ich stryczek. Mimo to obie szalupy uparcie kierowały się w stronę *Tenebrae*.

Jedna z nich stanęła w płomieniach. Stało się to tak nagle, że Stoeper aż wstrzymał oddech. Piraci zgromadzili się na środku łodzi, jakby bali się wody bardziej niż ognia. Ale nie mogli uciec przed jednym ani drugim. Ich ubrania szybko zaczęły się palić, a szalupa pękła pod ich nogami. Mężczyźni wpadli do morza i zniknęli pod warstwą popiołu. Czyjaś płonąca ręka jeszcze przebiła się na powierzchnię, lecz zaraz zatoneła.

– Co się dzieje? – spytał Hemple, wytrzeszczając oczy.

Stoeper cofnął się od relingu.

– Musimy opuścić te wody. Dzieje się tutaj coś piekielnie niedobrego.

Jakby na potwierdzenie słów przyrodnika rozległ się donośny huk, który wstrząsnął wodami. Mrok rozbłysnął ogniem. Tambora wybuchła po raz kolejny.

Macklin skrzywił się, bo uświadomił sobie, że łaćńska nazwa statku, którym dowodził, pasuje do tego dnia. Pierwszy właściciel wykorzystywał tę jednostkę do przewożenia skazańców i nazwał ją ku czci katolickiej uroczystości, która przypadała na ostatnie trzy dni Wielkiego Tygodnia. Podczas ceremonii *Tenebrae* gasi się kolejno piętnaście świec odpowiadających cierpieniom Chrystusa w drodze na krzyż, aż zapada całkowita ciemność. Uroczystość kończy donośny huk mający symbolizować zatrzęsienie się grobowca z ciałem Jezusa.

Kapitan wpatrywał się w pozbawione słońca niebo, słuchając echa grzmotu.

Czy my także zostaniemy zamknięci w grobowcu? – przemknęło mu przez głowę.

Po jakimś czasie woda za rufą się podniosła, jakby wynurzała się z niej jakaś potężna bestia.

– Trzymajcie się! – wrzasnął Hemple do załogi.

Fala podniosła rufę, a następnie gwałtownie ją opuściła, tak że statek ciężko opadł na wodę. Zachwiał się, kołysząc masztami i łopocząc żaglami.

Macklin skupił uwagę na ostatniej z uciekających łodzi, która dopiero teraz zaczęła się od nich oddalać, jakby piraci wreszcie dostrzegli banderę powiewającą wysoko na maszcie *Tenebrae*.

Ale nie to było powodem ich ucieczki.

Przybiegł Hemple i zameldował:

– Dym, kapitanie. Wznosi się wszędzie wokół nas.

Macklin zauważył gęstniejący całun, ale uznał go za skutek pożaru pirackiego statku.

– Pożar w zęzie! – krzyknęli bosman i mat, którzy pojawili się na pokładzie rufowym.

Hemple zaczął wydawać polecenia członkom załogi.

– Wiadra z piaskiem i wodą! Szybko!

Kapitan zmarszczył czoło, patrząc na płonący piracki statek.

– Co to jest? – spytał Stoecker, wychylając się za reling i patrząc w dół.

Macklin podążył za jego wzrokiem. Do kadłuba przywarły czarne skamieniałe gałęzie. W miarę jak *Tenebrae* się kołysał, pojawiały się kolejne. Wokół nich kłębił się dym, jakby gałęzie były prętami rozpalonego żelaza znakującymi drewniany statek.

Przez dziury w warstwie popiołu dostrzegał migotanie i błyskanie w ciemnych głębinach, jakby pod statkiem i wokół niego przesunęły się strumienie światła. Zadrżał na ten piekielny widok.

– Podnieść pełne żagle! – rozkazał. – Odpływamy stąd! – Wykrzykując te słowa, nie odrywał wzroku od wody.

Płonące gałęzie piły się coraz wyżej, niczym ogniste pazury morskiego potwora, który pochwycił *Tenebrae*.

Kapitan już rozumiał, co tak wystraszyło piratów.

Zanim statek zdążył nabrać prędkości, płomienie buchnęły wzdłuż kadłuba i rozprzestrzeniły się po gałęziach, okrążając go. Nawet fala wymieszanej z popiołem wody nie zdołała zdusić ognia.

Hemple wrzeszczał i przekazywał rozkazy kapitana. Wszędzie rozbrzmiewały krzyki i przekleństwa zdesperowanej i przerażonej załogi.

Macklin popatrzył przez gęstniejący dym w stronę pirackiego statku, który powoli tonął w pokrytym popiołem morzu. Wiedział, że taki sam los czeka *Tenebrae*. Zauważył, że Stoecker i chłopiec pokładowy zniknęli, ale nie miał czasu zastanawiać się, gdzie się podziali.

Serce podeszło mu do gardła, gdy dym spowił statek, a płomienie wzniosły się aż do relingu. Przypomniawszy sobie ostatnią mszę, w której uczestniczył podczas Wielkiego Tygodnia w kościele w Batawii. Śpiewano wtedy pieśń skomponowaną przed dwoma wiekami przez Gregoria Allegriego, opowiadającą o ostatnich trzech dniach cierpienia Chrystusa.

Wyrecytował jej tytuł.

– *Miserere mei, Deus.*

Był on równie na miejscu jak nazwa statku.

Boże, bądź mi miłościw.

Batawia, Jawa

23 kwietnia 1815

Stamford Raffles, wicegubernator Holenderskich Indii Wschodnich, podążył za kapitanem krążownika *Apollon* przez zrujnowany miejski port. Kapitanowi Haasowi towarzyszył okrętowy chirurg Swann.

Obaj pojawili się w pałacu wicegubernatora z pilnym listem od człowieka, któremu Stamford ufał. Dlatego mimo późnej godziny – słońce już wisało nisko nad horyzontem – Raffles pojechał z nimi powozem do portu. Teraz szybkim krokiem szli po długim kamiennym moło, jednym z nielicznych, które pozostały nienaruszone po wydarzeniach ostatnich tygodni.

W porcie rozbrzmiewały odgłosy młotków i pił, a także echa okrzyków. Na szczęście z nieba przestał już opadać popiół, chociaż w powietrzu wciąż unosiła się gęsta mgiełka, która zmieniała słońce we wściekle czerwoną kulę i pogrążała świat w nieprzerwanym półmroku. Gorąca wieczorna bryza nadal niosła smród siarki.

Raffles trzymał przy nosie perfumowaną chustkę. Upał dodatkowo pogarszał mu nastrój. Opuścił pałac w czarnym surducie i sztywnej kamizelce, ponieważ później wybierał się na kolację z dygnitarzami z Malajów, którzy przyjechali zbadać skalę zniszczeń po erupcji Tambory.

Kapitan Haas zrównał się z wicegubernatorem. Holender o piaszkowych włosach miał na sobie mniej elegancki szary surdut, ale wyglądał schludnie.

Wskazał swój statek zacumowany w zatoce.

– *Apollon* żeglował z Nowej Gwinei i płynął przez Morze Jawajskie, gdy napotkaliśmy tonącą łódź. Pomyśleliśmy, że zerwała się z cum i dryfowała.

Swann pokiwał głową. Był drobnym starszym mężczyzną o surowej twarzy i ciemnych oczach.

– A potem zauważyliśmy, co znajduje się na pokładzie, i zaleciłem kapitanowi Haasowi, żebyśmy ją przyholowali – oznajmił.

– Niczego nie dotykaliśmy – dodał Haas, na chwilę unosząc do ust srebrny krzyż. – Nikt z nas by się nie odważył.

Kapitan i chirurg doprowadzili Stamforda do końca pomostu, gdzie przywiązano niewielką szalupę okrytą płótnem żaglowym. Przed nią stał mężczyzna, który wysłał przez kapitana list. Był to adiutant i zaufany przyjaciel wicegubernatora, Thomas Otho Travers – ciemnowłosa Irlandczyk, były żołnierz o szczupłej sylwetce, którą podkreślały obcisły surduty i świeżo wyprasowane spodnie. Obok niego stał Szkot, jego rówieśnik, którego Raffles również znał – szanowany lekarz związany z Towarzystwem Batawskim, doktor John Crawford.

Obaj mieli ponure miny.

Stamford minął Haasa i do nich podszedł.

– Co się stało? Co jest aż tak pilne?

Travers zwrócił się w stronę łodzi, której żelazny kadłub był pogwiniatany.

– To szalupa z *Tenebrae* – oznajmił.

– Co takiego?! Skąd może pan mieć pewność?

Wicegubernator szesnaście dni wcześniej wyprowadził statek towarowy *Tenebrae* w morze i od tamtej pory załoga się nie odzywała. Wszyscy podejrzewali, że na jednostkę napadli piraci, ponieważ od czasu wybuchu wulkanu Bugisi śmieiej grasowali po tych wodach, jak sępy krążące nad padliną.

– Jesteśmy pewni – odparł Travers i zwrócił się do lekarza: – Może najlepiej będzie to pokazać, doktorze. Pomogę panu.

Młody lekarz miał na sobie czarne ubranie z białym kołnierzykiem, przez co przypominał księdza. Podeszli z Traversem do łodzi i razem ściągnęli płótno żaglowe, ujawniając upiorny widok.

Stamford miał ochotę się cofnąć i wyprzeć to, co zobaczył, ale Haas i chirurg stali za nim.

Na dnie łodzi leżały dwa ciała, jedno dwa razy większe od drugiego. Oba tak poczerniały, że nie było widać rysów twarzy. Ale powierzchnia zwłok niepokojąco lśniła, jakby wyrzeźbiono je z ciemnego marmuru, a skóra delikatnie migotała. Mniejsze z ciał, najwyraźniej należące do młodego chłopca, leżało pod ręką drugiego. Wygięte szyja i kręgosłup wskazywały na bolesną śmierć. Chłopak nie znalazł ukojenia w objęciach towarzysza, ale mężczyzna najwyraźniej próbował go pocieszyć, mimo że sam konał w podobnych męczarniach.

Co jeszcze dziwniejsze, większe z ciał nie w pełni uległo zmianom. Jedna czwarta zwłok – ta bardziej oddalona od chłopca – nosiła tylko lekkie ślady poparzeń, a niektóre fragmenty były niemal nietknięte. Ucho i policzek wciąż były blade i sine. Część spalonej białej koszuli okrywała górną część tułowia, a jedna noga, osłonięta ciemnymi spodniami i butem sięgającym do połowy łydki, sprawiała wrażenie nienaruszonej.

To nie miało żadnego sensu.

Raffles zadał podstawowe pytanie:

– Kto to jest?

Doktor ostrożnie wszedł do łodzi i zbliżył się do większego z ciał. Wskazał rękę obejmującą chłopca i poczerniałą dłoń, na której wciąż tkwił sygnet.

– Na kamieniu widnieją litery *TB*.

Stamford mocniej zacisnął palce na perfumowanej chustce, ponieważ wiedział, kto wchodził w skład załogi *Tenebrae*.

– Johannes Stoeper – rzucił. – Przyrodnik.

– Tak sądzimy – powiedział Travers. – Przypuszczamy, że ten drugi to chłopiec pokładowy.

– Co się z nimi stało? Ogień nie działa tak na ciało człowieka. Wyglądają, jakby zmienili się w kamień.

Doktor Crawford wyprostował się i zakołysał łodzią, tak że adiutant wicegubernatora musiał się czegoś przytrzymać, by nie stracić równowagi.

– Nie wiemy – przyznał lekarz. – Ale przeprowadziłem pobieżne badanie. Cokolwiek spotkało tych dwóch, ich ciała rzeczywiście skamieniały. Stały się twarde jak skała. Nie mam pojęcia, w jaki sposób do tego doszło. Będę musiał przenieść zwłoki do swojej kwatery za miejską apteką, żeby dokładniej je zbadać.

– Jest jeszcze coś, co musi pan zobaczyć – oznajmił Travers. Dołączył do lekarza na pokładzie szalupy i uklęknął obok drugiej ręki Stoepkera, którą ten kurczowo przyciskał do piersi. Kamienne palce trzymały małą stalową kasetkę. – Najwyraźniej chronił nie tylko chłopca – powiedział Travers. – Nie chcieliśmy niczego naruszać przed pana przybyciem.

– Może pan wydobyć tę kasetkę? – spytał Stamford. – I jej wartość?

– Mogę spróbować. – Jego adiutant owinął dłoń chustką i chwycił stalowy przedmiot, wyraźnie unikając kontaktu ze skamieniałą skórą. Starał się uwolnić kasetkę, ale bezskutecznie. Stoepker nawet po śmierci nie chciał zdradzić swojej tajemnicy.

– Niech pan włoży w to więcej siły, panie Travers – zażądał wicegubernator.

– Tak jest. – Travers stanął szerzej na nogach, po czym zaczął mocno poruszać kasetką i ją ciągnąć.

W końcu rozległ się głośny trzask i adiutant przewrócił się na nadburcie. Łódź prawie się wywróciła, ale Crawford, który stał po jej przeciwnnej stronie, zdołał zrównoważyć ciężar Traversa.

Plusk, który rozległ się obok rufy łodzi, przyciągnął wzrok Stamforda.

Wicegubernator się skrzywił.

- Wpadła do wody?
- Nie. – Travers pokazał stalową kasetkę. – Wciąż ją mam.

Stamford nie spuszczał wzroku z wody. Na powierzchnię wypłynęła poczerniała dłoń bez dwóch palców. Mimo że wyglądała jak kamień, unosiła się na wodzie.

Co to za diabelstwo?

Travers wyszedł z łodzi i wyciągnął kasetkę w jego stronę.

Wicegubernator skrzyżował ręce na piersi; nie miał zamiaru dotykać tego przeklętego przedmiotu.

- Proszę ją otworzyć – rozkazał.

Jego adiutant zwolnił zatrask i uchylił skrzypiące wieczko. Na molo wypadła złożona karteczka. Najwyraźniej ostatnia wiadomość od Johanna Stoeckera.

Stamford zignorował ją i nachylił się nad kasetką. Znajdował się w niej tylko jeden przedmiot: rozgałęziona kamienna łodyga, która wyglądała jak czarny koralowiec.

- Co pan o tym myśli? – wyszeptał Travers.

Wicegubernator pokręcił głową, całkowicie zbity z tropu.

Dlaczego Stoecker miałby zadawać sobie tyle trudu, by zachować coś takiego? – zastanawiał się.

Zauważył, że przedmiot w pudełku ma taki sam kolor i połysk jak poczerniałe trupy w łodzi. Przypomniawszy sobie, że odłamane i wyschnięte kawałki koralowców często unoszą się na wodzie.

Wpatrując się we fragment dłoni Stoeckera, poczuł dreszcz pewności.

Te ciała nie skamieniały.

Zamieniły się w koral.

1

500 kilometrów od wybrzeży wyspy Norfolk, Australia 18 stycznia, godzina 10.04 czasu miejscowego

Phoebe Reed z zachwytem patrzyła na zatopiony Rajski Ogród.

Lampy stacji rozświetlały wieczną ciemność za ponad dwudziestoma centymetrami akrylowego szkła. Emitowały wyjątkowe czerwone światło, które nie drażniło morskich stworzeń. Stojąca przy oknie Phoebe miała na oczach wzmacniające obraz gogle dostrojone do długości fal tego światła, dzięki którym mogła więcej zobaczyć.

Nawet na głębokości trzech kilometrów ocean tętnił życiem, a widok zmieniał się niczym wzory w kalejdoskopie. Olbrzymie kraby o karmazynowych nogach wspinały się po rafach, delikatnie grzebiąc w zagłębieniach między koralowcami. Upiorne białe denniki sunęły nad piaskiem. Za szybą lśnił przypominający cygaro rekin foremkowy o ciemnym grzbiecie i bioluminescencyjnym brzuchu. Większy rekin, sześciopar szary, patrolował obrzeża oświetlanego terenu.

Ktoś obok Phoebe wyciągnął rękę.

- Sześcioparów nigdy wcześniej nie widziano na tej głębokości.
- Czyżby, Jazz? – spytała Phoebe i zerknęła na swoją asystentkę.

Jasleen Patel skrzywiła się, niezadowolona, że jej ekspertyza jest podawana w wątpliwość. Dwa lata wcześniej skończyła studia magisterskie z biologii morskiej i teraz pisała pracę doktorską. Była jedną z podopiecznych Phoebe Reed, a z czasem stała się jej asystentką w laboratorium w Caltech. Współpracowały od ponad pięciu lat i uznawano je za nierozłączne.

Większość osób uważała, że przypadły sobie do gustu ze względu na kolor skóry. Pheoebe przyszła na świat na Barbadosie, ale w wieku ośmiu lat przyjechała z matką do Stanów Zjednoczonych, na Południe, i tam się wychowała. Jasleen, o osiem lat młodsza, urodziła się w Kalifornii, ale miała indyjskie korzenie. Jej pochodząca z Mumbaju rodzina prowadziła sieć pralni chemicznych w rejonie Zatoki San Francisco.

Ale to nie kolor skóry ani płeć przyciągnęły do siebie te dwie kobiety. A przynajmniej nie były to jedyne powody. Ważniejsza była wspólna fascynacja tajemnicami głębin. A także szacunek, jakim się darzyły.

– Trudno uwierzyć, że cokolwiek mogło przetrwać w tej pozbawionej słońca strefie batialnej – powiedziała Jazz, przykładając dłoń do szyby. – Ciśnienie tutaj przekracza trzysta kilogramów na centymetr kwadratowy.

– To ekscytujące, prawda? Życie nie tylko zdołało się tutaj zakorzenić, ale też rozkwita.

Obie popatrzyły na krainę cudów za szkłem.

Dwie żabnicokształtne ryby kołysały świecącymi wabikami. Grupy pierścienic wiły się w świetle, karmiąc się dostarczającym energię do głębin śniegiem morskim, opadającym z poziomów, do których docierało światło słońca. Każde spojrzenie pozwalało odkryć coś nowego: ławice żmijowców, parę wampirzyc piekielnych, pojedynczego frędzlikowca. Nieco dalej homary albinosy pełzały pośród fal karmazynowych ukwiałów.

– Wybrałaś już, z którego miejsca chcesz pobrać pierwsze próbki koralowca? – spytała Jazz, zerkając na swój zegarek do nurkowania. – Batyskaf będzie dostępny za półtorej godziny.

– Mam kilka pomysłów, ale chciałabym jeszcze raz przejść się wokół tego poziomu, a może także piętro wyżej.

– Nie zwlekaj za długo – ostrzegła Jazz. – Nie tylko my chcemy wykorzystać to okienko czasowe. Mamy tu, na dole, sporą konkurencję.

– Na powierzchni też.

Tysiące naukowców chciały uczestniczyć w tym niezwykłym oceanicznym przedsięwzięciu, ale wybrano tylko trzysta osób i wzięły one udział w inauguracji projektu Tytan. Wybrańcy zostali rozlokowani w trzech strefach.

Połowa badaczy pozostała na szczycie, na pokładzie *Tytana X*, trzytunowego gigajachtu, na którego rufie znajdowała się trzynastokondygnacyjna szklana kula. W środku mieściły się dwadzieścia dwa najnowocześniejsze laboratoria. Ta jednostka mogła obsługiwać podwodną stację, ale także szybko przemieszczać się po powierzchni, bo napędzał ją reaktor jądrowy chłodzony mieszaniną stopionych soli, dzięki czemu mogła prowadzić badania na całym świecie.

Na powierzchni znajdowała się także Górna Stacja Tytan, pływająca platforma zaprojektowana na podobieństwo szybów wiertniczych. Służyła jako rusztowanie, stacja robocza oraz zaplecze. Cumowało tam ponad dwadzieścia batyskafów, zarówno załogowych, jak i bezzałogowych.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni wyspecjalizowane batyskafy załogowe zabierały naukowców i obsługę na głębokość trzech kilometrów do Dolnej Stacji Tytan. Niektórzy nazywali tę podwodną stację w kształcie odwróconej piramidy „najdroższym zabawkowym bączkiem na świecie”.

Kiedy Phoebe dwa dni wcześniej dotarła tutaj na pokładzie batyskafu, była pod ogromnym wrażeniem tego, co zobaczyła. Najwyższy poziom stacji z dużą oszkloną kopułą obserwacyjną wyglądał jak UFO o średnicy stu metrów. Cztery niższe poziomy miały taki sam kolisty kształt, ale były coraz mniejsze, co upodabniało stację do bączka. Najniższy poziom – na którym teraz znajdowała się Phoebe – miał zaledwie dwadzieścia metrów średnicy. Nie było tutaj żadnych laboratoriów, jedynie krąg spolaryzowanego czarnego szkła, który czynił z tego poziomu obserwatorium.

Tak samo jak platforma i jacht, cała stacja się unosiła, tyle że tuż nad dnem morza. Utrzymywała pozycję dzięki zbiornikom

balastowym oraz stabilizującym dyszom zainstalowanym na każdym poziomie. Jedynym punktem stycznym z delikatnym ekosystemem było kilka kotwic.

Żeby ułatwić naukowcom i pracownikom technicznym przemieszczanie się po trzech strefach, na Dolnej Stacji Tytan utrzymywano stałe ciśnienie jednej atmosfery, dzięki czemu personel odwiedzający i opuszczający stację nie musiał poddawać się dekompresji. Batyskafy wypuszczały i zabierały pasażerów dzięki systemowi doków, podobnemu do tego na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, co było jak najbardziej na miejscu, zważywszy, że otaczający ich krajobraz był równie wrogi i niebezpieczny jak kosmiczna próżnia.

Phoebe i Jazz, które jak większość naukowców wędrowały błękitnymi korytarzami w atmosferze zachwyту, nerwowości i podniecenia, nie czuły jednak strachu. Wszyscy przygotowywali się do pobytu tutaj całymi miesiącami; tygodniami słuchali wykładów i odbywali wielodniowe szkolenia w zakresie bezpieczeństwa. Ale nic nie mogło ich przygotować na wejście do tego świata.

– Dokończ swoje badania – powiedziała Jazz. – Ja wrócę na górę i sprawdzę terminal batyskafu bezzałogowego. Chcę się upewnić, że ten duet z MIT go nie przetrzyma.

– Dobry pomysł – przyznała Phoebe. – Jeśli będziesz musiała, trochę ich popędź.

– Możesz mi zaufać, że dam facetowi popalić, jeśli będzie się grzebał.

Phoebe uśmiechnęła się, patrząc, jak dziewczyna idzie do spiralnych schodów prowadzących na górę. Ostrzyżona na chłopaka ciemnowłosa Jasleen miała niewiele więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, ale kiedy broniła ich miejsca do pracy, zmieniała się w pitbulla.

Zdając sobie sprawę, że Jazz wymaga punktualności także od niej, Phoebe bez zwłoki ruszyła korytarzem biegnącym wokół Poziomu Tetyda. Tym razem mniej skupiała się na cudach podmorskiego życia, które pływało, pęzało lub przemykało pośród raf, a bardziej na temacie swoich badań.

Jej praca doktorska dotyczyła biologii koralowców głębinowych. Większość ludzi zna koralowce, które można oglądać podczas nurkowania. Ich polipy czerpią energię z fotosyntezy glonów żyjących wewnątrz raf. Ale Phoebe skupiała się na koralowcach żyjących poniżej strefy, do której dociera światło słoneczne. Te głębinowe istoty pozostawały tajemnicą. W zimnej wodzie i przy wysokim ciśnieniu dojrzewały powoli i słynęły z długowieczności. Według niektórych szacunków dożywały nawet pięciu tysięcy lat.

W obliczu braku światła żywiły się mikroskopijnymi organizmami – zooplanktonem i fitoplanktonem – oraz cząsteczkami materii organicznej pochodzącej z rozkładających się roślin i zwierząt. Żeby móc je chłonać, koralowce głębinowe wykształcały piękne – przypominające liście albo delikatne gałęzie – i kruche struktury, które zatrzymywały tlen i pokarm niesione przez prądy morskie. Właśnie dlatego rafy w strefie batialnej przypominały pierzaste, rozłożyste lasy.

Tutaj z pewnością tak to wygląda, pomyślała Phoebe.

Ilość koralowców za oknem oszałamiała. To nie był las, ale prawdziwa fluorescencyjna dżungla. Jaśniejące łodygi i gałęzie gorgonii wznosiły się nawet na dziesięć metrów. Świeciły na żółto, różowo, niebiesko i jasnofioletowo. Mieszały się z biczami i wachlarzami morskimi. W innych miejscach kruczoczarne koralowe drzewa rozpościerały grube gałęzie, które upodabniały je do skarbonizowanych rzeźb. Kontrastowały z nimi olbrzymie kępy koralowców z rodzaju *Lophelia* w kolorze kości słoniowej, które wypełniały parowy i porastały szczyty podwodnych grzbietów.

Phoebe przez chwilę była przerażona czekającym ją monumentalnym zadaniem polegającym na zbadaniu i skatalogowaniu tych wszystkich form życia, ale wzięła głęboki oddech i przypomniła sobie chińskie przysłowie, które jej matka zawsze cytowała, gdy ona czuła się przytłoczona, zwłaszcza wkrótce po przeprowadzce do Stanów Zjednoczonych.

„Tysiąckilometrowa podróż zaczyna się od pojedynczego kroku”.

Powoli wypuściła powietrze.
Dam sobie radę, pomyślała.

Godzina 11.08

Czterdzieści minut później Phoebe zakończyła drugi obchód Poziomu Tetyda. Po drodze mijała grupy kolegów, którzy szeptali między sobą w rozmaitych językach. Miała ze sobą tablet, który wyświetlał mapę okolicznych raf. Zaznaczyła piętnaście potencjalnych miejsc – trzy razy za dużo jak na pierwsze okienko pracy z bezzałogowym batyskafem.

Muszę ograniczyć się do pięciu albo sześciu najlepszych lokacji, postanowiła.

Kurczowo ścisnęła tablet. Była sfrustrowana niewielką ilością czasu, jaki będzie miała do dyspozycji, ale wiedziała, że później uda jej się pobrać dodatkowe próbki. W ciągu nadchodzącego miesiąca zamierzała poszerzać obszar poszukiwań. Pierwszy tydzień ona i Jazz miały poświęcić na aklimatyzację, zapoznanie się z metodami zbierania próbek i nauczanie się jak najskuteczniejszego korzystania z pokładowych laboratoriów. Później będą mogły prowadzić badania na szerszą skalę. Phoebe już zarezerwowała załogowy batyskaf na następny wtorek, by zbadać dalej położone miejsca.

Jakby wezwany jej myślą, jaskrawożółty batyskaf z olbrzymią szklaną kopułą na przedzie przepłynął za oknem. Za jego jaskrawymi światłami, które oślepiały Phoebe mimo jej gogli, widziała cienie poruszające się w kabinie.

Przycisnęła dłoń do szyby i patrzyła, jak pojazd znika w ciemności, niczym powoli gasnąca gwiazda. Przepełniała ją bolesna tęsknota.

Aż podskoczyła, gdy usłyszała męski głos.

– Co pani o tym wszystkim sądzi?

Skupiona na widoku za oknem, nie zauważyła, że ktoś do niej podszedł. Odwróciła się i zeszytniała, zaskoczona obecnością

William Byrda, dyrektora naczelnego ESKY i głównego inwestora projektu Tytan. Pięćdziesięcioletni Australijczyk zbił fortunę na budowie statków, głównie kontenerowców i frachtowców, ale także okrętów dla australijskiej marynarki wojennej. Jego spółka obsługiwała dużą część międzynarodowego transportu morskiego. Wartość netto Byrda szacowano na ponad siedemdziesiąt miliardów dolarów. Mimo to miał na sobie prosty granatowy kombinezon i czapkę z trójkębem, oficjalny uniform pracowników stacji. Jedyną oznaką bogactwa był pękaty złoty zegarek kieszonkowy na łańcuszku, który wisiał na jego piersi.

Phoebe zdjęła gogle i bezskutecznie próbowała znaleźć jakąś odpowiedź. W końcu wyciągnęła rękę w stronę szyby, wspominając swoje pierwsze wrażenia.

– Nie... nie mylił się pan, gdy nazywał te morza zaginionym Rajskim Ogrodem. To naprawdę oszałamiające miejsce.

– Czyli słuchała pani mojej konferencji prasowej w zeszłym tygodniu? – Posłał jej zawadiacki uśmiech, który jeszcze bardziej upodobił go do chłopca. Był mocno opalony i nie była to opalenizna z solarium. Jego ogorzała twarz kojarzyła się z marynarzem, a gęste blond włosy miały białe pasma, za sprawą wieku lub na skutek działania słońca, a może z obu tych powodów.

– Chyba nikt jej nie przegapił – odparła. – Przypuszczam jednak, że Bezos, Branson i Musk mogli się obrazić.

Wzruszył ramionami.

– Należy im się. Po co wydawać miliardy na posyłanie rakiet w kosmos, skoro na Ziemi pozostało tyle tajemnic do odkrycia. Zwłaszcza na dnie oceanów, które zbadaliśmy dopiero w dwudziestu procentach. A szczegółowo zobrazowanych, tak by można było znaleźć na przykład wraki samolotów, jest rzędu setnych procenta. Możemy więc powiedzieć, że dna oceanów są całkowicie niezbadane.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że te liczby są tak niskie – przyznała Phoebe.

Byrd ze smutkiem pokiwał głową.

– To nasze największe wyzwanie. Ludzkość znajdzie swoją przyszłość nie na powierzchni Marsa, ale w tych dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek dziewięciu procent tajemniczych oceanicznych głębin. Zaniedbujemy je na własną szkodę. Oceany nas karmią, są naszym placem zabaw, nawet naszą apteką. A co ważniejsze, pełnią funkcję płuc planety, ponieważ wytwarzają osiemdziesiąt procent tlenu i pochłaniają dwadzieścia pięć procent dwutlenku węgla. Gdyby jedna czwarta oceanów umarła, życie na Ziemi by tego nie przetrwało.

Phoebe kiwała głową, gdy przypominał jej znaczenie projektu Tytan, finansowanego przez konglomerat organizacji non profit, stypendia naukowe oraz prywatnych sponsorów, ale lwia część pieniędzy pochodziła od człowieka, który stał przed nią. Nie wiedziała, czy w ten sposób Byrd chce dać coś światu po latach zarabiania miliardów na swojej flocie transportowców przemierzających oceany, w każdym razie był bardzo hojny. To jego spółka sponsorowała i nadzorowała budowę większej części kompleksu Tytan. Wyłożyli dzieśnię miliardów dolarów, dzięki czemu kompleks powstał w szokująco szybkim tempie.

A ja mogę być częścią tego wszystkiego, przemknęło przez głowę Phoebe.

Ale nawet miliarder, który stał przed nią, nie był w stanie całkowicie zafascynować jej uwagę. Co jakiś czas zerknęła ponad jego ramię na okna. Śledziła wzrokiem walenia dziobogłowego, który przemykał nad koralowcem, wyraźnie zaniepokojony ich obecnością. Te zwierzęta sływały z nurkowania na olbrzymie głębokości i potrafiły godzinami wstrzymywać oddech.

Byrd wyczuł jej rozkojarzenie i uśmiechnął się szerzej. Obejrzał się na krainę cudów za oknami.

– To naprawdę zaginiony Rajski Ogród – powiedział. – Miejmy nadzieję, że nikt nas z niego nie wyrzuci za poszukiwania zakazanej wiedzy, jak stało się z Ewą. Musimy tutaj wiele odkryć. Czeka nas mnóstwo pracy.

– To nie praca, ale prawdziwy zaszczyt, może mi pan wierzyć. Być tutaj, na skraju Morza Koralowego. Czeką nas tylko odkryć, że już nie mogą się doczekać, kiedy zacznę.

Wszystkie osoby znajdujące się na tym poziomie patrzyły na nich, ignorując widok za oknem. William Byrd rzadko zaglądał do naukowców. Podczas kilkutygodniowego szkolenia na pokładzie *Tytana* X Phoebe tylko kilka razy widziała miliardera, albo na pokładzie jachtu, albo pod oszkloną kopułą, gdzie przemieszczał się w otoczeniu swojej świty. Teraz towarzyszył mu tylko jeden ochroniarz o surowej twarzy, wysoki Aborygen, który trzymał dłoń na rękojeści pałki przy pasie.

– Pani entuzjazm mnie inspiruje, doktor Reed – odezwał się Byrd, nie przestając patrzeć za okno.

– Dziękuję – wydukała, zaszokowana, że ten człowiek w ogóle zna jej nazwisko.

Była jedną z niewielu czarnych osób w kompleksie Tytan i jedyną czarną kobietą. Miała nadzieję, że to nie dlatego ją zapamiętał. I nie z powodu jej wzrostu, bo miała sto osiemdziesiąt centymetrów i górowała nad niemal wszystkimi.

Chociaż projekt Tytan był przedsięwzięciem międzynarodowym, większość obecnych tutaj stanowili biali mężczyźni. Było też sporo Azjatów i garstka ludzi z Turcji, Pakistanu i Bliskiego Wschodu. Mężczyźni byli dwukrotnie liczniejsi od kobiet, ale to świadczyło jedynie o tym, że wśród naukowców jest mniej kobiet, a nie o uprzedzeniach.

Przynajmniej taką Phoebe miała nadzieję.

Byrd odwrócił się w jej stronę.

– Chętnie poznam pani opinię na temat stanu naszych raf – powiedział. – Wierzę, że uda nam się odkryć sposób na powstrzymanie niszczenia koralowców, którym to morze zawdzięcza swoją nazwę.

Przypuszczała, że właśnie dlatego wybrano ją do uczestnictwa w tym projekcie. Koralowce głębinowe sprawiały wrażenie wyjątkowo odpornych na wywoływane gorącym blaknięcie, które zagrażało Wielkiej Rafie Koralowej, a także lepiej znosiły skażenia. Nikt nie był

pewien, dlaczego tak się dzieje. Gdyby udało się to odkryć, mogłoby to pozwolić ocalić rafy na całym świecie.

– Czytałem pani artykuły dotyczące badań w Instytucie Monterey Bay – dodał Byrd. – Pisała pani o wytrzymałym ekosystemie Sur Ridge u wybrzeży Kalifornii. Dlatego pokładałam taką nadzieję w pani pracy tutaj.

Starła się ukryć szok. Czytał moje prace! Więc może jego uznanie nie miało nic wspólnego z jej kolorem skóry ani wzrostem.

Wyprostowała się.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Nie wątpię.

Byrd głośno westchnął.

– Pozwolę pani się przygotować. Ale nie mogę się doczekać naszej kolejnej rozmowy.

Zanim zdążył oddalić się w stronę środkowych schodów, w stacji rozległ się niski grzmot. Kable kotwic na zewnątrz zakołysały się, ale pięć poziomów Dolnej Stacji Tytan prawie się nie poruszyło; rzędy skoordynowanych komputerowo dysz zrównoważyły wstrząs.

Mimo wszystko naukowcy oddalili się od okien.

Nawet ochroniarz Byrda sięgnął po broń.

Miliarder podniósł rękę.

– To tylko drobny podmorski wstrząs! – zawołał. – Nie trzeba się przejmować. Jesteśmy w regionie aktywnym tektonicznie. To już szesnasty... nie, siedemnasty... wstrząs, który odnotowaliśmy od początku prac nad tym projektem. Należy się ich spodziewać, a ekipa, która zaprojektowała stację, wzięła je pod uwagę.

Kiedy wstrząs osłabł, Phoebe jako jedyna podeszła do okna. Wyjrzała na zewnątrz. Morskie stworzenia sprawiały wrażenie równie niewzruszonych jak Byrd. Wzburzony piasek już opadał na dno.

Położyła dłoń na szybie i poczuła tylko lekki pomruk stabilizujących dysz. Popatrzyła poza granicę światła czerwonych lamp, ku epicentrum wstrząsów. Wyobraziła sobie miejsce, w którym dno zapada się i tworzy labirynt głębokich rowów: Salomona, Nowe Hebrydy,

a jeszcze dalej Tonga i Kermadec. Wyznaczały urywaną granicę ścierających się płyt tektonicznych, pacyficznej i indoaustalijskiej.

Chociaż Rów Mariański na północy był bardziej znany i cieszył się większym zainteresowaniem – ponieważ był najgłębszy – ten łańcuch rowów był płytszy zaledwie o tysiąc metrów. Ale ze względu na drugie miejsce w tej kategorii naukowcy nigdy nie poświęcali mu należytej uwagi.

Teraz to się zmieni, pomyślała z nadzieją Phoebe.

Jednym z powodów, dla których pragnęła dołączyć do projektu Tytan, była możliwość znalezienia się blisko rowów, z którymi wiązały się jej ostatnie badania. Obecność koralowców na głębokości trzech kilometrów była dobrze udokumentowana, ale nikt nie wiedział, czy znajdują się także głębiej, a jeśli tak, to jak wyglądają i jakim cudem są w stanie przetrwać. Odpowiedzi na te pytania czekały w pobliskim skalnym labiryncie.

Obejrzała się na Williama Byrda, którego zatrzymała trójka naukowców. Wyglądało na to, że ich uspokajał, opowiadając o licznych testach, jakim poddano stację.

Podczas gdy on mówił, Phoebe przypomniła sobie jego słowa dotyczące tego, że dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent oceanicznych głębin jest niezbadane. Na pewno gdzieś głębiej musiały być koralowce.

Odwróciła się w stronę okna.

A ja je znajdę, postanowiła.

Trzymając dłoń na szybie, poczuła wstrząs, od którego zawibrowała jej cała ręka. Dno oceanu zatrzęśło się i wzbity się z niego kłęby piasku, a rozległy las zadrżał. Morskie stworzenia błyskawicznie czmychnęły, błyskając płetwami i ogonami. Armia krabów porzuciła swoje poszukiwania i pospiesznie uciekła z rafy. Ośmiornice i kałamarnice w panice zniknęły w ciemności, pozostawiając chmurę atramentu.

Phoebe szerzej otworzyła oczy i wstrzymała oddech, tłumiąc ostrzegawczy okrzyk.

Zanim zdążyła wypuścić powietrze, dno oceanu pod stacją drgnęło. Kable kotwic gwałtownie zafalowały, a dwa z nich odłączyły się od stacji. Zatrzasnęły się drzwi przeciwpożarowe pomiędzy poziomami. Stacja obracała się i podskakiwała, aż w końcu wszystkie kable z hukiem wypięły się z mocowań na pływającej budowlu.

Uwolniona Dolna Stacja Tytan powoli obracała się niczym bączek, który przypominała, dopóki dysze nie zrównoważyły jej ruchu.

Phoebe zerknęła na pozostałych. Kilku naukowców upadło na podłogę. William Byrd wciąż stał, zapewne dzięki silnym rękom ochroniarza.

Australijski miliarder próbował się roześmiać, ale zabrzmiało to w wymuszony sposób.

– Nie spodziewałem się tak wstrząsających doświadczeń, ale jak pani widzi, wytrzymaliśmy nawet te silne drgania – powiedział.

Drzwi przeciwpożarowe między poziomami powoli się otworzyły. W stacji zabrzmiała syrena oznajmijąca koniec alarmu.

– Jak już mówiłem, nie ma się czym przejmować – zapewnił Byrd z szerokim uśmiechem. Ale sprawiał wrażenie znacznie mniej pewnego siebie niż jeszcze parę minut temu.

Phoebe odwróciła się do okna. Wstrząsy ustały i na dnie znów zapanował spokój. Piasek opadł i jej oczom ukazała się rafa, prawie nietknięta. Kilka wyższych koralowców złamało się przy podstawie i opadło na piasek, ale nie widziała żadnych innych zniszczeń.

Mimo to czekała, zachowując czujność.

Po pięciu minutach poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

Żadne podmorskie stworzenia nie wróciły, jakby postanowiły unikać tego obszaru.

Skrzywiła się zmartwiona.

Czy powinniśmy pójść w ich ślady? – pomyślała.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).